

XIX.

Podczas jazdy, doktor namyslał się, czy opowiedzieć markizowi o spotkaniu z Maud Kiss. Na kilka minut przed przewiezieniem hrabiego Hartenberga z Lasku, w pawilonie zjawila się Maud. Początkowo Saffroy sądził, że przybyła dowiedzieć się o zdrowie pana Morailles, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy przyjęła wiadomość o odjeździe markiza z rajzupelniejszą obojętnością. Od świadków Hartenberga zażądała, by zaprowadzono ją do ranego. Pozostała przy nim kilka minut. Gdy Saffroy wszedł niespodzianie do jego pokoju, ujrzał, iż trzymają się za ręce, które na jego widok rozłączyli natychmiast. Potem przybyła po nią jakaś wysoka dama, z wyglądu cudzoziemka i razem odjechały.

Gdyby poddał się tylko swej wrodzonej złośliwości, opowiedziałby całe to spotkanie panu Morailles, by sprawić mu przykrość, w porę jednak powstrzymał się; z wiadomości tej markiz mógłby nie być zupełnie zadowolonym. Tymczasem zajęchano przed wysokie, murowane ogrodzenie, na bramie którego widniał u góry wielki napis: „Instytut Neurologiczny“. W głębi za gazonem znajdował się zgrabny pałacyk.

— To jest prywatne mieszkanie Cruxa, zakład mieści się w tyle — wyjaśnił Saffroy. — Niech markiz popatrzy na ten mur, najlepiej on zabezpiecza nas przed ucieczką pacjentów.

Na głos dzwonka od bramy, zbliżył się wysoki, rudy, wygalonowany portyer z dwoma wielkimi buldogami o białych, świecących się na wierzchu pyska zębach.

— Doktor Crux jest? — zapytał Saffroy.

Portyer potwierdzająco skinął głową. Nie zbyt rozmowny i zachęcający dla tego, ktoby go chciał przekupić, pomyślał pan Morailles. A przytem sam podolałby i czterem ludziom, tak jest wspaniale zbudowany. Saffroy odgadł myśli markiza.

— Portyer ten jest niemy. Crux z pomocą moją wyleczył go z raka na języku, odcinając mu go połowę. Dałby się teraz za nas zabić z wdzięczności za wyratowanie od niechybnej śmierci.

W przedśionku przyjął ich służący ugr, w pomarańczowych spodniach, białych jedwabnych pończochach i niebieskim fraku.

— Doktor Crux jest w swym gabinecie?

— Nie, pan doktor gra w bilard z kapitanem. Zaraz uprzedzę.

— Nie, nie potrzeba; wejdźmy od razu, prawda markizie?

I zniżając głos, dodał:

— Kapitan Huchsssetts jest bardzo miłym, inteligentnym człowiekiem, tylko na okręcie zabił dziesięciu matków. Furiat...

Przy słowach tych Saffroy wprowadził markiza do sali, gdzie Crux pochylony nad bilardem, robił karambola. Na odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się:

— Ach, co za niespodzianka! Znajduje mnie pan przy rozrywce higienicznej... Pozwoli pan, że przedstawię: kapitan Huchsssetts.

Wysoki, szczupły, o złotych faworytach jego, ubrany w doskonale skrojony żakiet, ukłonił się z wielką powagą. Miał zielonkawę oczy i nadmiernie duże szczęki. W całej jego postaci widniała jakaś dobroć i uprzejmość. Odezwał się:

— Panowie wybaczą... — i wyszedł. Saffroy natychmiast poszedł za nim.

— Widział pan, jak się obchodzą ze swymi chorymi, miękko i łagodnie, ale w potrzebie i stanowczo. Kapitan...

— Tak, Saffroy już mi mówił...

— Dzięki mej metodzie za kilka tygodni odzyska zupełnie władze umysłowe. Jest to człowiek nie zwykłej inteligencji... gra, maluje, rzeźbi. Jest już spokojny jak baranek...

Dalszy ciąg opowiadania przerwał Saffroy, który już wrócił.

— Dobrze byłoby, aby kapitan nie miał u siebie brzytwy. Najśłodszy głosem zwierzył mi się, że miał wielką chęć podczas gry poderżnąć panu gardło.

— Co, mnie? — zawołał Crux. błędnie nagle — mnie, który jestem dla niego jak ojciec. Dlaczego on mi chciał to zrobić? ten nędznik!

— Mówił, że fasola podana na śniadanie, byli to mali przebrani Macedończycy, którzy mieli go wbić na pal, na rozkaz księżniczki tureckiej Dzi-dzen, kochanki pańskiej od czasów śmierci Mahometa, zmarłego na konwulsje.

— Co za szalone myśli... Co za dziwna kombinacja pojęć! Ale brzytwa, Saffroy? — zapytał Crux, błędnie jeszcze więcej.

— Oto ona, oddał mi ją z wielkim wahaniem.

— O, musimy go wziąć teraz dobrze na oko, krótko potrzymać. — Zwrócił się do pana Morailles, ubawionego przestachem doktora.

— Takie wypadki zdarzają się. Życie nasze ciągle w niebezpieczeństwie. Na szczęście nie wszyscy są tacy niebezpieczni. Ale proszę do mego gabinetu. Spodziewam się, że nie zdrowie markizy sprowadza pana do mnie.

— Niestety tak — odparł markiz i siadając w wygodnym fotelu, zaczął opowiadać niebezpieczne sym-

ność umieszczenia żony w domu zdrowia, musiałbym mieć pewność zachowania najzupełniejszej tajemnicy.

— Rozumiem, rozumiem bardzo dobrze delikatność pańskich uczuć. Pan markiz pragnie, by nie-szczęśliwy stan pani Morailles był nieznanym, by nikt nie podejrzewał jej obecności tutaj. W pańskim świecie będą sądzili, że wyjechała gdzieś za granicę na leczenie. U nas nie będzie podlegała żadnym dawnym wpływom, które na nią tak zgubnie działają. Prawda, pan tego chce?

— Istotnie, tak — odpowiedział markiz — takie są moje chęci.

Crux jak poprzednio Saffroy, nie pomylił się co do istotnych zamiarów markiza, przypuszczali tylko, że stan pani Morailles był groźniejszy, niż w rzeczywistości się okazał. Sądzi, że mąż chce skorzystać z choroby żony, by wolny zupełnie, tem swobodniej używać życia.

— Zapewne pan pragnie obejrzeć nasz instytut. Pokażę panu kilku ciekawych pacjentów. Naprzykład ten w alei, widac przez okno. Jak jedzie w wózku ciągniętym przez osła. Jak on wolno posuwa się.

Zdajęmusię, iż jest kryształową karafką, napełnioną cudowną wodą, której boi się uronić. Mamy także pewnego Rosyanina, który twierdzi, iż jest pozbawiony woli. Nie sam nie robi, kroku nawet nie postąpi: trzeba go ubrać, umyć, nakarmić. Co jednak dziwne, że jest przytem niezwykle wykształcony włada biegle sześcioma językami. Ale chodźmy już oglądać zakład!

Znaleźli się w obszernym parku z rozrzuconymi w różnych miejscach pawilonami. W głębi znajdował się wielki biały dom z szerokimi oknami bez rolet.

— Instytut — rzekł z dumą dla swego dzieła Crux. W gmachu tym mieszczą się chorzy, którym dozwolone jest życie towarzyskie, a nawet zalecone.

Obejrzel salony, czytelnię, bibliotekę, fajczarnię, potem poszczególne apartamenty chorych, urządzone z elegancją, na co Crux przy każdej sposobności zwracał uwagę swego gościa.

— Mamy także pawilony oddzielne dla uprzywilejowanych pacjentów, urządzone z niezwykłym komfortem.

— Wspomniał mi pan — rzekł obojętnym tonem markiz — że ideą fixe zamkniętych jest ucieczka; czy ona jest trudna?

Crux roześmiał się.

— Niemożliwa. O dziesiątej godzinie wszystkie drzwi zamknięte, a klucze u mnie się znajdują. Odbywają się ciągle patrole. Czterech stróżów razem z buldogami zmienia się nieustannie. Nie można nawet próbować ucieczki.

Saffroy dodał:

— W zeszłym roku jeden chory odważył się na to, ale przychwycił go buldog za nogę tak, iż ta noga potem nie wiele już była warta.

Markiz wzdygnął się, ale to uczucie ludzkości niedługo w nim potrwało. Tak, to dobre będzie schronienie dla żony. Zwrócił się do Saffroya.

— Mówił pan, że jest pan wolny?

— Służę sobą.

— Przed śniadaniem otrzymałem, nie wspomniałem o tem, by nie psuć panu humoru, smutne wieści z Roche Forte. Czy może być pan u mnie o pół do piątej. Pojedziemy razem, by mógł się pan przekonać sam o stanie żony.

— Będę z pewnością, proszę liczyć na mnie.

Pan Morailles pożegnał się. Teraz, uspokojony co do możliwości uwięzienia markizy między warytami bez niebezpieczeństwa ucieczki, może zająć się niewierną Maud. Przybył na ulicę Spontini. Tutaj oczekiwało go wielkie, niespodziane zdziwienie. Wszystkie żaluzje w małym pałacyku były pozapuszczane, wszystkie drzwi pozamykane.

Pchnął drzwiczki małego ogródka otaczającego mieszkanie swej kochanki i znalazł się przed kobietą w starszym wieku, którą Maud najmowała do cięższych posług. Wejrzenie miała uczciwe i z rozczarowaniem spoglądała na pana Morailles. „Nigdy jeszcze nie zwrócił się do niej ani jednym słowem, nigdy jeszcze na nią nie popatrzył. Ona go jednak znała; czyż nie był on po pannie Maud Kiss, jej panem?”

(Ciąg dalszy nastąpi).



— Czy pan markiz pragnie czego? — zapytała przestraszona.

ptomaty choroby swej żony. Po skończeniu wstchnął żałośnie.

— Choroby umysłowe są nadzwyczaj skomplikowane — zaczął Crux. — Jest bardzo możliwe, że pani Morailles przy swej żywej wyobraźni, od dłuższego już czasu nosi w sobie zarodki poważnych niedomagań nerwowych. Wskazywały na to wszystkie poprzednie objawy, dzisiaj moja dyagnoza staje się zupełnie jasną. Można też obawiać się, że stan chorobliwy jeszcze się pogorszy.

— I pan tak sądzi? — rzekł pan Morailles ze smutkiem w głosie. Saffroy to samo mi mówił.

— Och, nie zaraz może, lecz po pewnym czasie; trzeba będzie rzeczywiście uciec się do radykalnych środków...

— Właśnie sądziłem, że w pańskim zakładzie... Crux położył rękę na sercu.

— Bardzo czuję się wzruszonym pańskim zafaniem, drogi panie markizie. Istotnie, któż może lepiej zająć się leczeniem pani Morailles, jak nie doktor, który od tylu lat ma ją w swej opiece. Za obowiązek jednak poczytuję sobie powiadomić pana, że mój instytut nie jest jedyny, że się znajdują...

— Panie doktorze, pan jest dobrze przeświadczony, że ja nie powierzyłbym markizy w ręce niepewne, nieznane i gdyby istotnie zaszła koniecz-